

Pisanie należy do świata magicznego

Z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm (Wilmington, Delaware)
rozmawia Jolanta Wysocka (Nowy Jork)



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Z-B

Cieszę się ogromnie, a ze mną wierni pani czytelnicy, że znów daje nam pani do ręki „delicje” swojego pisarstwa. Na rynku księgarskim bowiem ukazały się dwie pani książki: „Pisarskie delicje” (Bellona) oraz „Wokół Wańkowicza” (PIW). Zapytam najpierw o tę drugą. Jako asystentka wybitnego prozaika i spadkobierczyni jego archiwum wydała pani o nim swoje wspomnienia („Blisko Wańkowicza”) i tom esejów („Na tropach Wańkowicza po

latach”), ale potem napisała pani także wiele innych książek, niezwiązanych z pisarzem. Rozumiem, że pamięć o Wańkowiczu jest w pani wciąż żywa. Czy to pewne podsumowanie wspomnień o człowieku, którego pani знаła? Dlaczego pani do niego powraca?

Wańkowicz wszedł do lektur szkolnych, to duża sprawa. Cenione wydawnictwo PIW wydało książkę o pisarzu, która przybliżyła jego niezwykłą osobowość, jego książki, różnorodną ich tematykę. Tom „Wokół Wańkowicza”, liczący blisko 700 stron, zawiera wszystko, co dotychczas napisałam o Wańkowiczu – oba tytuły, które pani wymienia, plus 300 stron uzupełnień. Przywołałam swoją pierwszą książkę „Blisko Wańkowicza” (która miała trzy wydania, 90-tysięczny nakład), gdzie przypominam, gdy jako studentka pisząca pracę magisterską na temat jego twórczości wysłałam do pisarza list. W odpowiedzi wyznaczył spotkanie. Przywiozłam ze sobą moje „prace zaliczeniowe”, które przeczytał na początku spotkania. Kiedy zorientował się, że ma przed sobą „pracusia z polonistyki”, zatrudnił mnie jako *researcherkę*. Przez kolejny rok studiów zbierałam materiały do „Karafki La Fontaine’a”, której drugi tom pisarz mi zadedykował („... bez której oddanego współpracownictwa zapewne byłaby to jeszcze gorsza książka”). Po ukończeniu studiów zostałam jego asystentką. Rok później pisarz zmarł. Cała znajomość trwała ledwie 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny pod wieloma względami okres. Po śmierci pisarza zajęłam się prowadzeniem

serii jego „Dzieł wybranych”, obroniłam doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, a także, mając 27 lat, napisałam pierwszą w życiu książkę.

Dlaczego teraz powracam do tematu autora „Monte Cassino”? Przez ostatnie lata nagromadziło się wiele nieporozumień, a nawet niepopartych żadnym dowodem oskarżeń. W książce umieściłam materiały z Instytutu Pamięci Narodowej, a także przytaczam m.in. słowa Eugeniusza Wita (zesłańca syberyjskiego, który z armią Andersa zgłosił się do spadochroniarzy; wieloletniego adiutanta generalnego Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce), który w 1958 roku był uczestnikiem debaty na temat skrótów książki „Monte Cassino”. Debata ta odbyła się na życzenie Wańkowicza w Nowym Jorku w środowisku weteranów. W jej wyniku stwierdzono, że „Wańkowicz miał rację co do wydania książki w Polsce. Dzięki niej ludzie dowiedzieli się o szczegółach tej bitwy i mogli być dumni. Książka była potrzebna, by przetrwać, podtrzymywała uczucia patriotyczne. Pomogła legendzie bitwy i legendzie żołnierza polskiego. Dzięki takim książkom rosło pokolenie, które marzyło o wolnej Polsce”.

Chcę podkreślić, że Wańkowicz był porządnym człowiekiem, niewmieszanym w żadne układy, był barwną i ciekawą postacią, nie żalił się, trzymał fason. Jego książki były uwielbiane, środowisko zazdrościło mu tego. Nie wytypowano go żadnej

nagrody – ani przed wojną, ani na emigracji, ani w Polsce powojennej. Mówił o tym z żalem, nie z dumą.

Nie jest powszechnie znane, że hojnie przekazywał pieniądze do kasy represjonowanym, a tuż przed śmiercią w 1974 roku przekazał Janowi Józefowi Lipskiemu i Janowi Olszewskiemu znaczącą na owe czasy kwotę na ten sam cel. Wspierał finansowo opozycję demokratyczną w Polsce, o czym jest w książce szeroka wypowiedź Jana Olszewskiego.

Myślę, że tą książką zamknęłam swoje pisanie o autorze „Szczenięcych lat”, chyba że pojawi się jakiś nowy atak i będę musiała wyjaśniać i tłumaczyć. Zawsze także służę pomocą każdemu, kto chciałby się zająć jego pisarstwem.

Dzięki pani książce poznajemy Wańkowicza nie z perspektywy biografy, zbierającego z różnych źródeł informacje o interesującej go postaci, ale z perspektywy osoby, która była z nim na co dzień, patrzyła na niego podczas pracy, czy też w ramach jego życia domowego. Nie skupia się pani na chronologicznym opisie wydarzeń. Dlaczego przyjęła pani taką formę?

Chciałam, by „Wokół Wańkowicza” była książką „do czytania”, aby miała ton poważniejszy i ton lżejszy. Są w niej wspomnienia pisarza – jakiego znałam – także rozdziały analizujące jego

książki. Pokazuję okres przedwojenny, wojenny, gdy był korespondentem II Korpusu, jak zbierał materiał do najgłośniejszej swojej książki „Monte Cassino”.

Piszę o niełatwym pod wieloma względami okresie na emigracji (Zofia Wańkowiczowa sprzątała po domach), o decyzji powrotu do Polski w 1958 r. Obszernie omawiam proces wytoczony pisarzowi w PRL w 1964 r., o którym pisano dużo także w Stanach Zjednoczonych; interweniowali m.in. amerykański PEN Club, senator Robert Kennedy.

Przytaczam wspomnienia – jak zapamiętali go różni ludzie. Jest rozdział o pisarce Zofii Romanowiczowej, która była sekretarką pisarza przy pisaniu „Monte Cassino”, a po jego śmierci napisała poświęconą mu książkę: „Sono felice”.

Są także pokazane zbierane na niego liczne, nieraz wręcz żalosne donosy, które są w teczkach IPN.

Co jeszcze w książce „Wokół Wańkowicza” jest nowego?

Jest rozdział: „Ostatnie dni Krystyny Wańkowiczówny. Opowieść „Gryfa””. Piszę o starszej córce pisarza, która zginęła w szóstym dniu powstania warszawskiego. Ojciec napisał o niej pięknie w „Zielu na kraterze”. O ostatnich dniach Krystyny ps. „Anna” opowiedział mi jej dowódca Janusz Brochwicz-Lewiński ps.

„Gryf”, do którego udało mi się dotrzeć w 2010 roku. Krystyna została pochowana w prowizorycznej mogile. Zofia Wańkowiczowa, która wiosną 1945 r. uczestniczyła przy odkopywaniu tego grobu, zapewne nie rozpoznała ciała córki. Nie wiedziała, że Krystyna obcięła warkocze, że zamiast spódniczki plisowanej, w której wyszła do powstania, miała na sobie mundur. Niestety, Zofia i Melchior Wańkowiczowie nie wiedzieli o tym. O tym dowiedziałam się ja – 56 lat później. Jest to jedna z bardziej przejmujących opowieści, o której w swoim życiu napisałam.

Wańkowicz w testamencie pozostawił pani swoje archiwum. Czy udostępnia je pani zainteresowanym? Czy dokonuje pani selekcji, które materiały mogą ujrzeć światło dzienne, a których lepiej nie ujawniać?

Archiwum jest w moim warszawskim mieszkaniu, część przekazał sam pisarz i część ja – po jego śmierci – do Ossolineum. Każdemu, kto do mnie się zgłosi, udzielam pomocy. Gdy jestem w Polsce, robię kopie listów, artykułów i wysyłam zainteresowanym. Jak dotąd, udostępniłam archiwum prof. Marcinowi Kuli, Robertowi Jarockiemu (materiały dotyczące tematu żydowskiego), listy Kazimierza Wierzyńskiego – Pawłowi Kądzieli, korespondencję Zofii Kossak-Szczuckiej – Mirosławie Pałaszewskiej, materiały związane z tematem Westerplatte – dr Krzysztofowi Zajączkowskiemu, ogólne Annie Malcer-Zakrzackiej

z Gdańska, piszącej pracę doktorską na temat autora „Szczęśliwych lat”, Bartoszowi Bajkowi – korespondencję pisarza z Florianem Czernyszewiczem, autorem książki „Nadberezyńcy”.

Zamierzam przekazać archiwa Wańkowicza do Biblioteki Narodowej lub – jako kontynuację – do Ossolineum.

Kilka lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że o Wańkowiczu powoli się zapomina. Czy tę konstatację może pani powtórzyć również dziś? Czy może jednak coś się zmieniło? Jak widzi pani w tym procesie swoją rolę?

Jest lepiej. Ważne jest wejście do lektur szkolnych, o czym wspomniałam. Ważne jest, aby książki były wznawiane, by pisać o nich. Moim swoistym obowiązkiem jest czuwać nad spuścizną Wańkowicza. Pod moją redakcją wydane zostały wielotomowe serie, ostatnio 16-tomowe „Dzieła wszystkie” (wyd. Prószyński i S-ka), w której po raz pierwszy ukazały się teksty o tematyce żydowskiej czy o Wołyniu. Chciałabym, by była wznowiona biografia pisarza pióra Mieczysława Kurzyny.

Ważna jest doroczna ceniona Nagroda im. Wańkowicza za radiowy reportaż. Są szkoły jego imienia, jest pomnik autora „Na tropach Smętka” w Piszcu, na Mazurach. Imię pisarza noszą ulice w całej Polsce – np. w Warszawie, Krakowie, we Wrocławiu, w Poznaniu, Szczecinie, Olsztynie, Koszalinie, Jeleniej Górze, w

Radwanicach, w Bolesławcu, Bartoszcach.

W książce wydanej po angielsku w 2013 r. w Stanach Zjednoczonych pt. „Melchior Wańkowicz Poland’s Master of the Written Word” nazwałam go „polskim Hemingwayem” – ze względu na bogatą osobowość, popularność, różnorodną tematykę książek, niezwykle życie, przemieszczanie się. W 1958 r. wyjeżdżał z USA oskarżany przez Polonię o „powrót do komunistów”. Po ponad pół wieku wrócił za Wielką Wodę – książką o sobie. Książka ma drugie wydanie.

Jest pani autorką innych książek, które ukazały się także w języku angielskim. Po polsku i po angielsku zaczęły się ukazywać pani książki jako audiobooki. Wydała pani w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych dziewięć tytułów i trzy w Kanadzie. Jako dwie pierwsze ukazały się książki o Indianach i o... kotach... O angielskojęzycznych pani wydaniach pisali m.in. znani z książki „Sprawa honoru” Stanley Cloud i Lynne Olson, a także wielu innych, jak chociażby: Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Bruce Johansen, John Mensch, Larry Cunningham, Irene Tomaszewski, Jerzy Krzyżanowski, Anna Cienciała, Piotr Wandycz, James S. Pula, Charles S. Kraszewski, Ewa Thompson, Mary Lanham, Florence W. Clowes. Proszę przypomnieć tytuły pani angielskojęzycznych książek.

W Kanadzie ukazały się „Dreams and Reality”, „The Roots are Polish” i książka o senatorze polskiego pochodzenia „Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians”.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od 1990 roku, najpierw ukazała się książka o tematyce amerykańskich Indian (piszę m.in. o stryju, rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim, który rozpoczął budowę w skałach pomnika Crazy Horse'a) – „Open Wounds a Native American Heritage” (polska wersja: „Otwarta rana Ameryki”); jej wydanie sponsorowali Apacze, po ukazaniu się recenzowały ją pisma indiańskie.

Druga amerykańska książka opowiadała o podróżach... z moją kotką: „On the Road with Suzy from Cat to Companion” (polska wersja, dwa wydania: „Podróże z moją kotką”). Dwa lata szukałam wydawcy na książki o tematyce historycznej – nasze polskie losy „z wojną w tle”. Są to: „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising” (polska wersja ma już trzecie wydanie: „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża” (wyd. Muza), „The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come” (polskie wydanie: „Lepszy dzień nie przyszedł już”), „Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England” (za tę książkę otrzymałam Fellowship in Literature by the Delaware Division of Arts). Książki te mają drugie wydania w tzw. miękkiej okładce. W 2018 r. ukazała się „Untold Stories of Polish Heroes from World

War II”.

Napisałam także książkę „Ingrid Bergman and her American Relatives” (aktorka była bliską kuzynką mojego męża Normana) – polska wersja “Ingrid Bergman prywatnie” – a także książkę o moim życiu pt. „Love for Family, Friends, and Books” (polska wersja, dwa wydania: „Ulica Żółwiego Strumienia”).

Ogólnie powiem, że najlepiej się miewa książka o podróżującej kotce Suzy „On the Road with Suzy from Cat to Companion”, która ukazała się w 2010 r. i wciąż ma dodruki.

Porozmawiajmy teraz o drugiej książce, która też niedawno się ukazała w Polsce, czyli o wydanych przez znane wydawnictwo Bellona „Pisarskich delicjach”. Są to pani rozważania o własnym warsztacie pisarskim. W jednym z rozdziałów napisała pani, że bohaterka książki „Kaja od Radosława” odwdzięczyła się, zapisując pani... miejsce w grobie na Powązkach.

No właśnie, czy wielu autorów otrzymało taki prezent od swoich bohaterów?

W tej książce chciałam się podzielić doświadczeniami z procesu pisania. Zastanawiam się w niej, czym jest dla mnie literatura faktu, jak się układały relacje z ludźmi, którzy opowiedzieli mi

Piszę o tym, jak wspaniałą lekcję „zaczepienia tematu” dostałam w czasie spotkania z Isaakiem Singerem w Nowym Jorku we wrześniu 1985 r., gdy byłam stypendystką Fulbrighta. Spotkanie Singera było dużym wydarzeniem w moim życiu. Podarował mi swoje książki z dedykacjami, a także książkę z ręcznymi poprawkami do nowego wydania. Otrzymałam też od niego fotografię z piękną dedykacją. Odpowiedział na wiele moich pytań, m.in.: jakie ma rady dla młodych pisarzy. Przytaczam je w „Pisarskich delicjach”.

Jerzy Giedroyc – z którym wymieniłam ok. 200 listów; pisywałam do „Zeszytów historycznych” i paryskiej „Kultury” – zaprosił mnie do współpracy przy porządkowaniu jego korespondencji z Melchiorem Wańkowiczem. Pytał też o moją kotkę, o Indian, którymi bardzo się interesował, ale jednocześnie mieliśmy inne zdania na temat osoby Wańkowicza, którego ja „broniłam”. Napisał, że jestem „emocjonalna”, jeżeli chodzi o pisarza, a ja odpowiedziałam, że nazywam to „lojalnością”. Giedroyc wymienił swój wstęp do tomu korespondencji, nowy napisał ładnie – z szacunkiem i podziwem. Jestem mu wdzięczna, że dał się przekonać.

**Czy można uznać, że w zdaniu w „Pisarskich delicjach”:
„Pisanie pojmuję... jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie: własnym upodobaniom czy wręcz fascynacjom”,
zawarła pani swego rodzaju *credo* pisarskie, a być może**

także życiowe?

Moje rozumienie pisania nie musi być zbieżne z przemyśleniami innych. Pisanie pojmuję – najogólniej mówiąc – właśnie niemal jako posłannictwo, służenie innym, ale i sobie. Czasami mówię: żeby mi życia starczyło, abym mogła spokojnie przemyśleć, wysłuchać, przeczytać, zrobić notatki, i wreszcie – napisać.

„Pisarskie delikcje” zaczęłam od eseju, że pisanie należy do świata magicznego, i wielu z nas chciałoby w nim zamieszkać. Nawet tylko znalezienie się w jego kręgu daje dużo wrażeń i uczy... pokory. Dobre pisanie to połączenie ciekawej formy i treści. Kiedy sposób pokazania jest tak samo piękny jak opowiedziana historia – to zazwyczaj powstaje interesująca literatura.

Każdy autor chciałby, by jego książka była ważna i oryginalna, by skłaniała do refleksji. Pisząc, chcemy przekazać innym nasze obserwacje, emocje, odczucia, wrażenia i fakty.

Pisząc, za każdym razem jakbym reagowała na rzeczywistość, ludzi i na zdarzenia wokół siebie. Jakbym chciała odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest nasze życie?”.

Opowieści innych zawsze mnie interesowały, chętnie ich wysłuchuję i czasami chcę o nich także napisać. Również moje własne życie dostarcza mi emocji, które często są inspiracją.

Piszę o tych dobrych, i o tych gorszych, i jest to rodzaj swoistej terapii, gdy dzielę się swoimi przemyśleniami i obserwacjami z innymi. Tak jak wszyscy, wciąż uczę się żyć, potykając się, nie raz i nie dwa. Chciałabym zrozumieć swoje życie i świat wkoło mnie, pisząc, przybliżam i w jakiejś mierze przyswajam sobie nowe i nieznanne zjawiska.

Pisze pani o literaturze faktu, podkreśla jej wagę we współczesnym świecie...

Dwudziesty pierwszy wiek od samego początku należy do literatury faktu, i zapewne taki pozostanie. Gdy wchodzi się do sieci księgarń *Barnes and Noble*, widać przede wszystkim monografie, biografie, wspomnienia, omówienia, pamiętniki, dzienniki, wywiady, wyjaśnienia, relacje.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Chce śledzić, co się dzieje w świecie, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą. Na temat wielu spraw i zjawisk pragniemy wiedzieć więcej, czasami je zgłębić lub choćby „coś” lepiej zrozumieć. Chcemy wiedzieć także o sprawach nam, Polakom, bliskich, o naszej historii, naszych wielkich postaciach, ale i o przeciętnym człowieku, by się z nim identyfikować. Może chcielibyśmy wyciągnąć nowe wnioski z naszej przeszłości, nawet wiedząc, że

„historia lubi się powtarzać”.

Jak pani patrzy na pojęcie kreatywności w literaturze faktu?

Autorzy *non-fiction* mają swoisty kontrakt z czytelnikiem: nic nie wymyślamy. Wszystko, o czym piszemy, jest oparte na dokumentach, faktach, ustalonych relacjach, i autor winien o tym napisać czytelnikowi. Uważam, że mimo tych trudności, pole do kreatywności jest duże.

Pisarz, który wybiera literaturę faktu jako swój warsztat i tematykę, zdaje sobie sprawę od początku, i z czasem coraz bardziej przekonuje się, przed jakimi staje zadaniami. Przede wszystkim musi dbać, by jego przekaz zawierał prawdę – zarówno miejsca i czasu akcji, jak postaci, które pokazuje. Prawdziwe muszą być ich wybory i motywy działania, ich życie, dobry los, tragedia i ból, potknięcia, rozczarowania, upadki, jak i radości, i satysfakcje. Różne są sposoby pokazania wybranego bohatera i jego losów, zdarzeń wokół. Trudność polega na tym, jak przekazać prawdę, która jest „moją prawdą” lub prawdą „innej osoby”. Czy jest jedna prawda? To jest temat nieraz skomplikowany.

A co jest ważne przy pisaniu? Co przeszkadza, powstrzymuje od pisania?

Ważne jest, aby autor umiał zaangażować, wciągnąć emocjonalnie czytelnika w tok swojej opowieści. Kreatywność piszącego polega na wyborze perspektywy, która jak oko kamery pozwala zatrzymać i skupić się na wybranym szczególe. Skupić tak, by zwrócić uwagę czytelnika. Podając szczegóły niejako wciąga się czytelnika w akcję, uruchamia jego wyobraźnię. Wstrzemięźliwość ma ważną rolę w opowiadaniu, może wykreować dramat i napięcie. Powiedzenie „za dużo” zabiera napięcie, gadulstwo narratora niszczy tekst.

Co powstrzymuje od pisania? Dziesiątki spraw, ludzie, świadomość, że tyle już napisano, że jakże wiele się pisze, że nieraz wręcz gadulstwo nas otacza... Ale jednocześnie jakże piękne i szlachetne jest przekonanie, że ktoś chce się podzielić się z innymi ważną sprawą. Uważam, że każdy z nas ma swoją własną opowieść i może ją napisać, opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest zagadnienie osobne.

Podkreśla pani także poświęcenie...

Pisanie wymaga nieraz wielkiego poświęcenia. Zdarza się, że wszystko inne wkoło jest ważniejsze, jakby właściwsze. I zapewne często tak właśnie jest. Są i inne przypadki, kiedy

trzeba umieć uciszyć głos w sobie, który przeszkadza, nieraz wręcz jest naszym wrogiem. Może nas buntować, może stawiać pytania: „komu - na co - po co?”, i może proponować wiele ciekawych zajęć i niemałych przyjemności. Także wygoda i lenistwo zawsze podpowiadają oglądanie kolejnego programu telewizyjnego, który nas tak bardzo nie interesuje, szperanie w internecie, drzemkę, gadulstwo przez telefon, mówienie nieraz wciąż „o tym samym”.

W aneksie do książki zatytułowanym „Bądźmy dobrzy dla pisarzy” uświadamia pani, że „pisanie to długie godziny samotności przed kartką papieru (teraz głównie przed komputerem), to są godziny i dni całe zmagania z własnym lenistwem, niewiedzą, to odsuwanie wielu spraw na bok, wielu spotkań, nieraz wielu małych i większych przyjemności”.

Pisanie to poświęcanie godzin na pracę, która nie zawsze jest odbiciem naszych starań i nadziei, nierzadko przynosi wyobcowanie, gorycz i pustkę. Pisanie to długie godziny samotności, a po jakimś czasie - lata samotności. Czytajmy biografie pisarzy, wiele nam dadzą. Jak wiele książek pomogło nam przejść przez trudności, przez załamania... Pamiętamy książki, które wywołały nasze wzruszenie, łzy i uśmiech. Książka cenna i ważna - gdy jest taka - wzrusza, uczy czegoś nowego, poszerza naszą wiedzę, zmienia nasze zdanie, naszą opinię,

rozszerza punkt widzenia, obchodzi go z różnych stron, uwrażliwia, wywołuje refleksje, daje nadzieję...

Pisze pani o procesie twórczym, zaangażowaniu, cyzelowaniu treści...

Pisarz powinien być zaangażowany emocjonalnie w temat, ale nie pokazywać swoich uczuć. Jak mówię: emocje popychają mnie do pisania, ale potem tekst odkładam, by się „uleżał”. Po jakimś czasie sięgam po niego i go cyzeluję, „udoskonalam”. Zbieram komentarze. Wszelkie emocje szczególnie fatalnie brzmią po latach.

Im temat trudniejszy, tym trzeba być oszczędniejszym w słowach, powściągliwszym, unikać przymiotników. Im poważniejszy, tym trzeba go podać spokojniej. Komentarz i różne odczucia powinien wywołać u siebie czytelnik w czasie lektury. Nie powinna być mu wskazana gotowa interpretacja, podsunięta i wypowiedziana przez narratora, pisarza. Trzeba podać obraz tak, by czytelnik sam wyciągnął wnioski. By wstrzymał oddech. Nie należy pisać gotowych komentarzy, czytelnik sam powinien się wzruszyć, zdziwić, zakłopotać, zastanowić, pomyśleć... Gdy to nie następuje, to znaczy, że „nie udało” mi się, nie potrafiłam...

Nieraz pokazuję losy rozbitych wojennymi wypadkami rodzin, dramaty pojedynczych osób. Wydawca amerykański napisał mi,

że poprzez pokazane losy czytelnik się identyfikuje i wzrusza, i że tak się dzieje także dlatego, że nie wstawiam własnego komentarza.

Tak właśnie pojmuję pisanie...

Rozmawiała: Jolanta Wysocka (Nowy Jork)

**Wywiad ukazał się w nowojorskim „Nowym Dzienniku”,
20.09.2019 r.**

*

Zobacz też:

Wańkowicz po latach: towarzysz podróży historyków

Pisarskie delicje i remanenty

Wańkowicz po latach:
towarzysz podróży
historyków



Melchior Wańkowicz, fot. Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

Marcin Kula (*Polska*)

Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm imponuje rozmiarami oraz zapleczem materiałowym. W swoich opisach i analizie autorka wykorzystuje po pierwsze wiedzę, jaką zyskała, będąc przez lata sekretarką i asystentką Melchiora Wańkowicza. To jej przekazał swoje, skrupulatnie prowadzone archiwum, toteż miała dostęp do notatek pisarza, jego listów i wycinków. Sama

korespondowała z mnóstwem ludzi, którzy mieli z nim kontakt. Prześledziła publikowane reakcje na jego książki. Przejrzała odnoszące się doń akta w archiwum paryskiej „Kultury” i w IPN... To nie jest „tylko” książka wspomnieniowa. Wspomnienia zostały w niej połączone z rezultatami wielkiej pracy, której trud przede wszystkim historyk potrafi docenić.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm stała się naszym przewodnikiem po drogach życia Wańkowicza. Widzimy jego codzienne bytowanie, różne prywatne sprawy, czytamy listy – co zresztą jest ciekawe nie tylko dla tej postaci, ale również dla refleksji nad historią kultury szeroko rozumianej. Towarzyszymy pisarzowi w smutku ostatniego okresu, kiedy był chory:

Gdy pytałam, co go gnębi, opowiadał historie często sprzed lat, przypominał całożyciowe przykrości. Wszystko to, co mówił, było smutne, przygnębiające, czasami zdumiewające... – s. 97.

Z książki można się dowiedzieć o najróżniejszych sprawach, z którymi Wańkowicz miał kontakt – na przykład o historii wydawnictwa „Rój”, o życiu emigracji, o paryskiej „Kulturze”. Także o sporach i namiętnościach nie tylko literackich wokół dzieł pisarza (na przykład o druku przez Związek Niemieckiego Wschodu niemieckiego tłumaczenia „Na tropach Smętka”, z

numerowanymi egzemplarzami, dla poznania metod Polaków – co mojemu pokoleniu niestety żywo przypomina, dajmy na to, biuletyny tekstów zachodniej prasy, nawet tekstów audycji WE, przygotowywane dla osób zaufanych w PRL).

Badania autorki w zakresie życia i twórczości Wańkowicza były zbieżne – bowiem dzieło pisarza było wyjątkowo splecione z jego życiem. To był człowiek, który nie przestawał być reporterem

Wańkowicz: Gdy jadę tramwajem, coś zmusza mnie do tego, bym się dowiedział, jaką książkę czyta ów pan w przeciwległym kącie wozu. Śledzę jakąś parkę na przestrzeni kilku ulic, aby się dowiedzieć, jakim mówią językiem. Zaglądam do cudzych okien, odczytuję wszelkie szyldziki na drzwiach mieszkań kamienicy, do której przybywam w odwiedziny, szukam na cmentarzu znajomych nazwisk. Obojętnych mi ludzi wypytuję o ich życie. Niezwykłe nazwy ulic zmuszają mnie do zastanowienia się, dlaczego one tak właśnie brzmią. Chciałbym przetrząsnąć każdą rupieciarnię i każdy stos starych papierów. Każdy napis „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do przekroczenia zakazu, każda tajemnica zachęca do jej zgłębienia – s. 181.

Przeprawiając się wpław przez Dniestr pod koniec września 1939 r., Wańkowicz przeniósł maszynę do pisania (!). Potem pisał czy

to o „codzienności” wojennej tułaczki, czy o wielkich sprawach. Gdzie go los rzucił, tam obserwował i opisywał otoczenie. Gdy go ten los uwikłał go w wojnę, tworzył obraz wojny. Gdy zaniósł go do Palestyny, to tam rozwijał swoje zainteresowanie Żydami i syjonizmem. Fascynował się Ameryką, gdzie spędził dziewięć lat. Żyjąc wśród emigrantów, obserwował i definiował dylematy, wobec których stali

Wańkowicz: W 1949 roku sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata. I rozleci się. Iść za stronę skazaną na przegranie przeciw Rosji, jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej – zakłamanie publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika – s. 278.

Gdzie Wańkowicza coś interesowało – tam starał się pojechać (bolszewicka Rosja, Meksyk okresu wojny religijnej). Po latach Ryszard Kapuściński zaczął pewien ustęp, chyba nie zdając sobie sprawy jak charakterystyczne dla siebie formułuje zdanie: „Gdy jechałem na rewolucje do...” (dalej padła nazwa jakiegoś kraju afrykańskiego, której już nie pamiętam). Podczas jakiejś konferencji o problemach społecznych w Ameryce Łacińskiej Kapuściński wyszedł, mówiąc, że wróci później – bowiem dotarło do niego, że właśnie w tym mieście, trochę dalej, rozgrywa się

bijatyka manifestantów z policją; poszedł tam zatem, by samemu obejrzeć ekspresję problemów społecznych. Właśnie taka była odpowiednio wcześniej postawa Wańkowicza. Kapuściński nie musiał go oczywiście naśladować – ale przynajmniej w tym wymiarze postawa wielkich twórców reportażu była podobna.

Pisząc swoje reportaże, Wańkowicz z pewnością nie myślał o przyszłych historykach. Stworzył jednak dla nas niezwykle źródło – i w tym sensie stał się towarzyszem naszej podróży w czasie. Dysponujemy różnymi źródłami – ale reportaże z epoki mówią do nas w inny sposób niż materiały aktowe, nawet niż różnego typu raporty. To są opisy zawodowych i zapasjonowanych obserwatorów, którzy najczęściej umieją patrzeć, analizować i uogólniać. Wystarczy zreszta popatrzeć na współczesnych polskich reporterów (by wymienić przykładowo: Jacka Hugo-Badera, Adama Leszczyńskiego, Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Mariusza Szczygła, Małgorzatę Szejnert, Wojciecha Tochmana...).

Przyzwoity reporter to obserwator nieraz bardziej wiarygodny niż wielu innych autorów źródeł opisowych, gdyż najczęściej jest mniej od nich zainteresowany osobiście sprawą, o której pisze. Nadto najczęściej stara się zrozumieć obserwowanych ludzi, wczuć się w ich pasje. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że reporter pójdzie mocno w kierunku literatury, że – jak wielki malarz – przedstawi atmosferę sytuacji nawet kosztem

dokładności jej odzwierciedlenia. Wańkowicz, jak pisze autorka, „wprowadził reportaż polski na szerokie drogi literatury faktu” (s. 175). Czasem obserwowano takie podejście u Kapuścińskiego, którego teksty czyta się znakomicie i z pożytkiem dla zrozumienia biegu spraw, ale czasem z pytaniem, czy odmalowane w szczegółach sytuacje doprawdy tak wyglądały. Teksty Wańkowicza chyba mogą być jednak źródłem nawet dla historyka najbardziej wiernego kanonom uprawianego zawodu. Nie da się dziś pisać o Polakach w Prusach Wschodnich, czy o COP-ie, bez ich lektury. Sam *notabene* z pożytkiem korzystałem z wańkowiczowskich reportaży dotyczących Palestyny i Meksyku. Ciekawe były wrażenia pisarza z bolszewickiej Rosji. Niektóre z jego reportaży były dosłownie unikalne – jak wywiady z Rydzem-Śmigłym i z Beckiem w Rumunii, czy z Abrahamem „Yairem” Sternem, żydowskim terrorystą poszukiwanym przez Anglików. Wańkowicz, będąc w Palestynie, starał się o kontakt z nim. Nie mógł go uzyskać – co nie jest dziwne. W końcu dostał wiadomość, że ktoś przyjdzie do niego wieczorem i od przebiegu rozmowy zależy, czy dojdzie do spotkania. Rozmowa toczyła się przez całą noc. Gość ulotnił się po końcu godziny policyjnej. Trochę później Wańkowicz wyszedł na ulicę i na plakatach z ogłoszeniami o osobie poszukiwanej zobaczył swojego rozmówcę.

Wątkiem interesującym dla historyka jest jednak także samo życie Wańkowicza. Biologowie mawiają, że patrząc na kroplę

wody pod mikroskopem można wiele dowiedzieć się o nadspodziewanie szerokich zagadnieniach. Bogate życie Wańkowicza mogłoby być pryzmatem, przy pomocy którego dałoby się napisać kawał historii Polski. Niektóre jego etapy dokumentował sam Wańkowicz, inne - albo te same - opisała oraz zilustrowała dokumentami autorka. W książce pojawia się życie przedwojenne pisarza, dzieje wydawnictwa „Rój”, zawirowania wojenne, jego życie na emigracji i (co ważne!) wśród emigrantów, kontakty z „Kulturą”, decyzja o powrocie i jej echa w środowisku emigracyjnym... no i życie w PRL. Ten ostatni etap bardzo mnie zainteresował - bowiem nasunął mi pytanie jakie okoliczności sprawiły, że w komunistycznej Polsce Wańkowicz mógł być tak wielką postacią. Potwierdził też moje przekonanie, wywiedzione zarówno z pracy zawodowej, jak ze wspomnień, o niekoherencji tego systemu, przynajmniej po 1956 r.

Stwierdzenie, że Wańkowicz był wielką postacią bowiem był wielkim pisarzem, jest tylko częściową prawdą. W PRL nie on jeden był wybitnym pisarzem, a mało kto został tak zapamiętany. W końcu władze mogły nie dopuścić, by rósł w siłę jako pisarz. Myślę, że jego popularność w pierwszym rządzie budowały cechy osobiste. PRL była w znaczącym stopniu krajem ludzi szarych i typowych. Nawet wśród relatywnie znanych postaci mało było oryginałów, osób nietuzinkowych, nieszablonowych. Takich władza zresztą nie lubiła. Wańkowicz zaś taki był. Robił wrażenie

swoją postawą, przynajmniej zewnętrzną pewnością siebie, rozbudowanym *ego*

Ileż różnych cech miał w sobie ten człowiek! Był jednocześnie i egoistą, i gotowym do poświęceń, wielkim łgarzem, egocentrykiem, gruboskórnym, a także wrażliwym na ludzkie cierpienie, lękającym się o sobie myśleć jako o wielkim pisarzu, delikatnym, czułym, tkliwym. Był sprzecznością. Sama nie wiem, które cechy dominowały, zależało to od ludzi, od układów, od sytuacji - s. 101.

Był sprzecznością: i chciał, i nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci - s. 110.

Bardzo mało było w PRL ludzi utrzymujących styl człowieka „do wypitki i do wybitki”, przypominających szlachcica we dworze, prowadzących otwarty dom, gdzie bywała „cała Warszawa”.

Lubił przyjmować ludzi, lubił dawać dobrze zjeść. Ugaszczał ich delicjami, smakołykami, wyszukanymi różnościami, jak ósmiorice, ślimaki, żaby itp. - s. 103.

Był trochę człowiekiem dawnych czasów – co w PRL nie zdarzało się często, przynajmniej wśród osób funkcjonujących publicznie. Utrzymywał szeroką korespondencję, masowo otrzymywał listy od najróżniejszych nadawców, w tym od „zwykłych ludzi”. Wątpię, czy wiele znanych osób w ówczesnej Polsce odpowiedziałoby na list z pytaniem, czy dziecko ma nazwać psa „Dupek” (imię psa Wańkowicza), czy „Melchiorek” (oczywiście od imienia samego pisarza). Jeszcze mniej odpowiedziałoby następująco:

Drogi Kubusiu, odbyłem z Dupkiem naradę, ale na razie do niczego nie doszliśmy: on chciał, żeby Twój piesek nazywał się Dupek, a ja – żeby Melchiorek. Ale stało się tak, że już jedna dziewczynka nazwała swój jasek Melchiorkiem, a biednego Dupka nikt jeszcze nie uczcił. Wobec czego powiedziałem Dupkowi „mądry głupiemu ustąpi”, na co on zamerdał ogonkiem. Ale powiedziałem: dobrze, niech piesek Kubusia zostanie Dupkiem Nr 2 i nie przynosi wstydu, ale na drugie imię niech ma Melchiorek. Na co Dupuś polizał mnie w nos, a więc się zgodził. Tak więc, jeśli Twój piesek będzie miał synka, to mu koniecznie wpisać należy imię ojca: „Dupek-Melchiorek”. Daj mu z powodu tych chrzcin jakąś honorową kość. Całuję Ciebie – Melchior Wańkowicz (s. 63-64).



Grupa polskich uczestników kongresu podczas pobytu w poselstwie polskim, X kongres PEN Clubów w Budapeszcie w 1932 roku. Stoją od lewej: Władysław Korsak, Mieczysław Grydzewski, Romana Kaden-Bandrowska, Jan Tomcanyi, Breiterowa, Witold Hulewicz, Julisz Kaden-Bandrowski, Szalom Asz, **Melchior Wańkowicz**, Zdzisław Kleszczyński, Stefania Podhorska-Okołów, profesor Huzarski, Kazimierz Wierzyński, siedzą: Dobrowolska, Wańkiewiczowa, Wieleżyńska, Łepkowska, poseł Stanisław Łepkowski, ks. Lubomirska, Stella Olgierd, rtm. Nitman, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pisarz był - co wówczas rzadkie - człowiekiem-firmą, autorytetem otwartym na kontakty, wręcz lubiącym chcących się

do niego zbliżyć. Zatrudniał sekretarkę, budował dom, gromadził własne archiwum, produkował mnóstwo tekstów. Był atrakcyjny jako człowiek z Zachodu. Jako ten, który wrócił, był dla władz do pewnych granic wygodny. Jego dzieła znajdowały uznanie czytelników w różnych gronach – także w szeroko rozumianym środowisku ludzi władzy. Wówczas było w nim przecież już znacznie więcej ludzi o mentalności z grubsza przeciętnej niż charakterystycznej dla wiekowych komunistów. W latach sześćdziesiątych PZPR coraz bardziej uderzała w nutę patriotyczną. Robiła to i dawniej, ale wówczas ta patriotyczna stopniowo stawała się niemal jedyną. Coraz częściej wracał klasyczny dyskurs o bohaterstwie Polaków. Oczywiście, cała ta ewolucja miała ograniczenia – ale zaryzykuję powiedzenie, że właśnie dlatego mówienie o Monte Cassino było dla ówczesnych władz wygodniejsze niż mówienie na przykład o AK i Powstaniu Warszawskim. W ramach tej ewolucji Wańkowicz mógł być nawet wygodny z punktu widzenia władz. Prawda, bywały z nim kłopoty. Nie chciał siedzieć cicho. Podpisał list 34. Praktycznie nie ukrywał swoich myśli. Gdy przyszedł kiedyś do mojego liceum na spotkanie z młodzieżą, ktoś z uczniów (nie ja!) zapytał go dlaczego nie pisze o... i tu wymienił jakąś sprawę wtedy drażliwą, doprawdy nie pamiętam już jaką. Pisarz odpowiedział jednym słowem: „Dlatego”. Brak mi talentu Wańkowicza (sic!), by oddać tę scenę – ale nikt na sali nie miał wątpliwości, że miało to znaczyć, iż władza nie pozwala. Niemniej jednak narastający w latach sześćdziesiątych moczaryzm go potrzebował. On zresztą

przyjmował w domu niektórych ludzi wyraźnie o takiej orientacji (Załuskich, Jana Zygmunta Jakubowskiego) – trudno powiedzieć, czy cynicznie, czy z prawdziwej chęci. Na tym tle proces Wańkowicza był czymś więcej niż strzeleniem sobie przez establishment w stopę:

Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, otrzymywał kwiaty i listy od czytelników. Znany był powszechnie wypadek, kiedy przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, uklonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie – s. 358.

Ten proces był czymś sprzecznym z logiką ówczesnej ewolucji PZPR. Całe posunięcie bardziej pasowało do Gomułki niż do Moczara i wszystkich ówczesnych arywistów z tego okresu. Nie mam na to żadnych dowodów, ale odnoszę wrażenie, że proces Melchiora Wańkowicza (1964) był nie tylko ukaraniem pisarza przez Gomułkę ze złości za niepodporządkowywanie się PRL-owskim władzom, ale również komunikatem dla środowiska literackiego, że władza jest zdecydowana wymóc posłuszeństwo (jeśli nie zawahała się zamknąć, postawić przed sądem i skazać na 3 lata tak wybitnego pisarza, na dodatek mającego wtedy 72

lata...). Ostatecznie władza nie zdecydowała się uwięzić Wańkowicza – choć istnieje legenda jakoby on w pewnym sensie nawet chciał tego. Trudno oczywiście powiedzieć, że ktoś chce siedzieć w więzieniu – ale on też w swojej roli oskarżonego coś rozgrywał.

Logiki trudno się było doszukać w systemie także w przedstawianych w książce mniejszych sprawach. Po przyjeździe do Londynu pisarza odległego duchowo (i zaznaczającego swój dystans ukrytymi, ale przecież wyczuwanymi przez władzę czynami) witał na miejskim terminalu lotniczym konsul z koniakiem i kwiatami. Zasłużony dla wydawania Wańkowicza wydawca utrzymywał jakieś mętne konszachty z SB w wysiłkach pozyskania jego archiwum, zresztą nie udanych. Jak owego wydawcę dzisiaj oceniać – nawet tylko w ramach tematu „Wańkowicz”? Co było ważniejsze?

Józef Tejchma, wicepremier i Minister Kultury, osłaniał pisarza i pozostawał z nim w prywatnych stosunkach tak bliskich, że ten do jego żony pisał wierszyk: „Tejchmo Alicjo, Moja delicio...” (s. 84). Pisarz aresztowany, z rewizją przeprowadzoną nawet w zawodowych materiałach, był jednak przetrzymywany w dobrych warunkach poza regularnym więzieniem. Został skazany, ale zwolniony od odbycia kary. Skazany, ale przyjęty na rozmowę przez samego Gomułkę:

Pisarz mówił, że jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę – s. 358.

Nawet jeżeli w tle może kryły się rozgrywki wewnętrzne w ramach PZPR, których nie znamy – to opisywane zjawisko było jednak głębsze.

Wańkowicz, pisarz opozycyjny, procesował się z Tadeuszem Walichnowskim – czołową postacią moczaryzmu, jedną z głównych postaci ofensywy marcowej, jedną z najmocniejszych postaci ówczesnego establishmentu policyjnego. Dobrze, procesował się o to, że tamten w swoim dziele napisał, iż „Na tropach Smętka” przyczyniło się do śmierci wielu osób (wskazując je Niemcom). Niemniej jednak procesował się. Proces zresztą wygrał – co niestety niewiele mu przyniosło, gdyż nie dożył wyroku.

Ten system był niekoherentny, niespójny, zaś Wańkowicz swoją postacią i swoją twórczością, nawet okrawaną, ową niekoherencję powiększał. W Polsce czytano „Bitwę o Monte Cassino”, nawet jeśli okrojona, w wielkich nakładach, nieporównywalnych z ewentualnym przesz muglowaniem pewnej liczby tej książki z Zachodu – co pewno miałoby miejsce, gdyby tam pozostał. Barwność postaci pisarza też była elementem

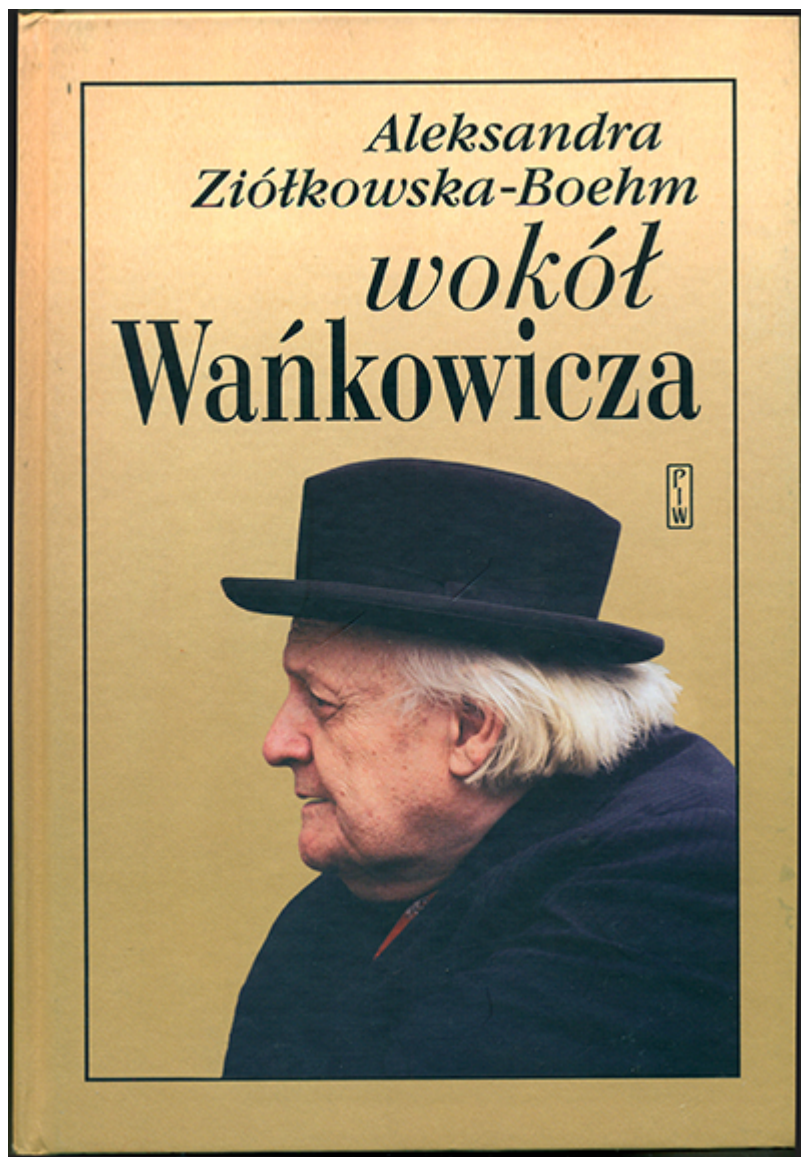
zdrowia w niezdrowej PRL. Choćby dla takich przyczyn cenne było, że wrócił – wbrew wszystkim krytykującym ten jego krok.

Z punktu widzenia cech systemu PRL – pomijając oczywisty ludzki aspekt sprawy – ciekawe są ostatnie momenty życia pisarza. Aleksander Małachowski odnotował:

Umierający Melchior Wańkowicz wezwał moją żonę oraz mnie i przez wiele nocnych godzin przekonywał nas, dlaczego nie możemy dopuścić, by mu sprawiono uroczysty, państwowy pogrzeb. Oni – mówił – zechcą to zrobić nie dla mnie, ale po to, by się sfotografować przy mojej trumnie.

Pisarz wyraził życzenie, by w nagrobku na rodzinnym grobie nie naprawiać rzeźby uszkodzonej kulą wystrzeloną podczas Powstania Warszawskiego. Skądinąd dziś powszechnie uważany za nieskończenie tępiony Kościół, wysyłał księdza z ostatnią posługą choć Wańkowicz o niego nie prosił. W pogrzebie uczestniczył minister kultury, pogrzeb prowadził jeden z biskupów, kamery TV filmowały (unikając widoku księży w kadrze), SB spisała swoje raporty z pogrzebu, cenzorskie zapisy w sprawach związanych z Wańkowiczem trwały, rzecz jasna, po jego śmierci. W sumie: totalne pomieszenie, ale lepiej było tak, niż inaczej.

Last but not least, dla historyka ciekawe jest widoczne w sprawach Wańkowicza długie trwanie pewnych spraw dziejowych. One się w Polsce – choć nie tylko tu – nie mogą skończyć, niektóre nawet odradzają się. Za PRL niektóre były wyciszane, ale może tym bardziej żyły. Gomułka pomógł Jasienicę o sprawy z grubsza ćwierć wieku wcześniejsze – a potem miała miejsce okropna rozmowa Wańkowicza z umierającym. Upadł komunizm, a Polska wciąż żyje historią. Inni teraz mówią o Wałęsie sprzed pół wieku. Mnóstwo ludzi jest przekonanych, że tak trzeba i że w ogóle można rozwiązać wszystkie dawne sprawy. Także o tym, że o obraz przeszłości trzeba walczyć (w praktyce przy odwołaniu się do niego trzeba walczyć z przeciwnikami). W sumie: mało to zachęcające, przynajmniej z punktu widzenia historyka, który wolałby widzieć poparcie dla badań niż boje prowadzone w ramach tzw. polityki historycznej.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, *Wokół Wańkowicza*, PIW,
Warszawa 2019, s. 696

**Recenzja Marcina Kuli ukazał się w PAMIETNIKU
LITERACKIM, Londyn, grudzień 2019 r.**

*

Zobacz też:

„King i Królik” - powrót Melchiora Wańkowicza

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.

Libretto dla pustyni



Winner - HOMER European
Medal of Poetry and Art



SONA VAN
Libretto dla pustyni

Czyta
BEATA POŹNIAK

W rocznicę ludobójstwa Ormian - 24 kwietnia 2021 r. w wydawnictwie Discordia Global Media ukazał się audiobook w języku polskim „Libretto dla pustyni” z wierszami Sony Van - znanej na świecie ormiańskiej poetki, tłumaczonej na wiele języków. Z ormiańskiego na język polski wiersze te przetłumaczył prof. Jerzy Szokalski.

***Libretto for the Desert* zdobyło Europejski Medal Poezji i Sztuki HOMER. Wersja angielska audiobooka w wykonaniu Beaty Poźniak - pochodzącej z Polski aktorki, która od wielu lat związana jest z Los Angeles, zdobyła nominację do prestiżowej nagrody *Voice Arts Awards* za najlepszą interpretację. Aktorka przybliżyła tę niezwykłą poezję także polskiemu słuchaczowi.**

Odbiorca wciąga się w poezję Sony Van, głównie ze względu na jej głębokie uniwersalne przesłanie - pisze Beata Poźniak we wstępie. - Wszyscy przeżyliśmy, albo znamy kogoś, kto doświadczył przemocy, wojny lub przeżył stratę bliskiego. Dorastając w Polsce, byłam ofiarą brutalnego systemu politycznego i doznałam traumy związanej z wprowadzeniem stanu wojennego. Wychowywałam się w aurze wspomnień tych członków mojej rodziny, którzy przeżyli II wojnę światową. Niektórzy zostali wysiedleni, inni - uwięzieni lub zabici. Niektórym udało się uciec z transportu do obozów. Inni wracali z Syberii z powrotem do Polski bosy, z pustymi rękami, okryci tylko jutowym workiem. Pamiętam nasze historie rodzinne, sąsiedzkie czy też opowieści szkolnych kolegów i ich rodzin. Wszyscy nosimy znamię naszej przeszłości. Historie naszych przodków to również nasze historie.

Czytając wiersze Sony, usłyszałam - a może raczej poczułam - głos pełen bólu i udręki, ale także nadziei. Właśnie wtedy, w

konsulacie w Los Angeles powstał pomysł stworzenia audiobooka „Libretto dla pustyni”, najpierw dla publiczności anglojęzycznej – i teraz wersji polskiej, która pozwoliłaby współprzeżywać dramatyczne losy ofiar ludobójstwa i wojen.

Beata Pożniak, wstęp do polskiej wersji tomu Sony Van „Libretto dla pustyni”.

JESTEM ZAŚLUBIONA PUSTYNI

zostałam zaślubiona pustyni

stuletnia

z przekrwionymi oczami obłąkanej

narodziłam się z dziewictwa

przecudnej

dziewicy Tamary

wydarła z niej

jataganem

*

dziś jest mój ślub

-trata-ta-tam-

pulsuje Deir-Zor wespół z moją suknią

niczym jedna biała całość

półtora miliona upiorów

tańczy wokół mnie

błagając

bym została z nimi

jasne że zostanę

to już przesądzone --

zagrzebuję pantofle

w piasku

i wyławiam moje korzenie

wraz z metalowymi sprzączkami

przy piętach

*

dziś jest mój ślub

-trata-ta-tam-

zostałam posadzona w środku

z kolczastym bukiecikiem

nigdzie nie idę

czyście zwariowali?

jestem drzewem

od dziś należę do pustyni

PS a trochę później

tradycyjnie rzucam za siebie

cierniowy ślubny bukiet

z nadzieją

że przypadnie

w czarnej dziurze kosmosu

Wersja audio:

Kwiecień to **National Poetry Month (Narodowy Miesiąc Poezji)**, ale też jest to - **Genocide Awareness Month (Miesiąc Świadomości Ludobójstwa)**. Prezydent Joe Biden, jako pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił i oficjalnie uznał rzeź dokonaną na Ormianach przez władze Imperium Osmańskiego w latach 1915-1917 za ludobójstwo. W jednym z wierszy Sona Van pyta, czy dojdzie do tego, że Obama powie słowo „ludobójstwo”? Myślę, że artyści od wielu lat walczyli piórem, pędzlem czy muzyką, bo chcieli być usłyszani. Sona Van walczy od lat poezją.

* * * *

myśl moja to

uszkodzona kamera

taśma kręci się

z chrobotem

wszystko jest szare

albo czarne

oprócz krwi niezastygłej

*

wszystko drży

a potem to przechodzi

na dom dziadka wspina się

*

koronkowy welon ślubny mojej ciotki

przelatuje z dachu na dach

i cudem wychodzi bez szwanku

chowając się w kominie

sąsiedzkiego domu

*

potem - garniec napełniony złotem

jak w kreskówkach

pędzi w podskokach i znika w kominku

kot z Wanu*

reszta to hałas i pozory

historia ladacznica ma pod biustem

kwiecień wąski pasek co uwiera

*

ciała krzyżowców parami

rzucane na krzyż

jeszcze trochę ciszy i

ponownie

mój dziadek ksiądz

z ołtarza

patrzy mi w oczy pytająco - może

ludobójstwo - powie Obama

po reklamach

wojny

a babcia podczas niedbałego

haftowania serwetek

pojawia się

znika i

pojawia się

w spranych kolorach

regularnie

przy niej kot z Wanu

z jednym okiem zielonym a

drugim niebieskim

*Koty z Wanu to rasa wyjątkowo niezwykła - kolor jednego oka każdego osobnika jest wyraźnie inny niż drugiego.



Fot. Brittney King z Pixabay

JESTEM WIECZNĄ PAJĘCZYCĄ

jestem wieczną pajęczycą

o ośmiu nogach

*

rozpościeram swoją sieć pomiędzy oknem

a ekranem

bez końca

pomiędzy śmiercią

realną a wirtualną

w czasie marnym

*

z mojego miejsca pośrodku wszystko widać

*

jakiś pęk znowu się rozwinął

jakiś ptak zaśpiewał znajomą piosenkę

na ekranie -

znowu kobieta urodziła chłopca

żołnierz szybciej niż ptak wyleciał w powietrze

*

najpierw światło

a potem dźwięk

(zachowane zasady fizyki

nie sumienia)

światło

dźwięk

kurz i wreszcie

buty

*

matka krzyczy i pada na ziemię

która stanowi podziemne muzeum -

tutaj żołnierz czterysta lat po śmierci

a tu zaledwie po czterech godzinach

*

wszystko powtarza się co do joty -

więc w tym musi być

jakiś błąd

*

jestem wieczną żałobnicą

w czterech czarnych chustach

dziadka zabili mi Turcy

ojca zabili Niemcy

syna zabili Azerowie

a córka urodziła wczoraj chłopca

*

zabili

zabili

zabili

*

historia się powtarza co do joty

przychodzi czas na wybór Barabasza

*

jestem kwartetem który wyśpiewuje

wieczny lament

jestem aksamitnym dziewczęcym mezzosopranem

jestem tenorem lirycznym panny młodej

jestem przytłumionym barytonem wdowy

i ochrypłym basem mojej babci co choruje na zaćmę

*

jestem wiecznym niczym

o ośmiu udach

moja babcia uklękała i urodziła syna

moja matka uklękała i urodziła chłopca

ja uklękałam i urodziłam syna

córka uklękała i urodziła syna

*

nasi synowie czołgają się

powstają

i padają

*

oceany potrzebują tonących

*

jestem wieczną baletnicą

w kabarecie czasu

wciąż ten sam tańczący kwartet

ten sam łańcuch mięśni ośmiu ud

i ten sam taniec śmierci

w lśniących błyskach strzałów

*

babcia zgina lewe kolano i patrzy na prawo

matka zgina lewe kolano i patrzy na prawo

i ja zginam lewe kolano i patrzę na prawo

moja córka zgina lewe kolano i patrzy na prawo

(nienawidzę powielania tego plagiatu kolan)

*

jestem boginią wojny

w spódnicy khaki

z metalicznym połyskiem

w miejsce okrwawionych piersi -

bomby

*

czas dotyka moich sutek

i pada

ja zawsze będę - zresztą nie w tym rzecz -

lecz potrzebuję czterech pór smutku

a tutaj przez okrągły rok jest lato

Wersja audio:

MARZENIE CAŁKIEM NA SERIO

kobiety

nie chcecie wojny?

nie patrzcie na żołnierza

z takim podziwem

a wtedy zobaczycie jak

natychmiast

swój wspaniały oręż

opuszcza

jak dziecko co chciało zwrócić na siebie uwagę

*

zamykam oczy i widzę jak chłopcy

walczą z pistoletami na wodę

a po chwili już faluje złote zboże

wśród wysuszonych piasków na pustyni

i taniec z szablami* zaraz potem tańczą

a potem się bawią chłopcy

szarańczami

zderzają je ze sobą lub gonią przed siebie

wielkimi wachlarzami

o stu kolorach

a oto mój bohater

Muszegh

który najwięcej ma szarańczy

w swojej torbie -

moje serce jest twoje

a zatem

powal mnie na ziemię

chodź wleziemy w szkodę

na twoim ocalałym

poletku pszenicy -

aż do rana

*

PS Mam już chyba tysiące takich scenariuszy

śmierci na wojnie

* **Taniec z szablami - słynny taniec znany z baletu „Gajane”
Arama Chaczaturiana**

**Wiersze Sony Van z tomu „Droga do nieba” w wykonaniu
Beaty Poźniak:**

Droga do nieba

Audiobook „Libretto dla pustyni” dostępny jest na stronie Audible:

<https://www.audible.com/pd/Libretto-dla-pustyni-Libretto-for-the-Desert-Audiobook/B092NBD77K>

Zobacz też:

<https://www.audiofilemagazine.com/reviews/read/157146/libretto-for-the-desert-by-sona-van-shushan-avagyan-trans-read-by-beata-pozniak/>

Jestem wierna poezji

Rozmowa z londyńską poetką Anną Marią Mickiewicz



Anna Maria Mickiewicz

Literatura to niezmiernie obszerne pojęcie. W moim wąskim ujęciu to styl życia, staram wypełnić się nią wolne chwile. To czas na zadumę, przelane na papier myśli i uczucia ubrane w nieoczekiwaną formę. To przekraczanie własnych słabości, czasami osobista spowiedź, wymagająca odwagi, to ciągły świadomy dialog z czytelnikiem... To radość i przyjemność – mówi Anna Maria Mickiewicz.

Dariusz A. Zeller:

Pani Anno, zacznijmy od spraw najnowszych. Na początku tego roku odebrała Pani nagrodę literacką im. Josepha Conrada. Czym jest dla Pani to szczególne wyróżnienie?

Anna Maria Mickiewicz:

Nagroda Literacka im. Josepha Conrada, którą miałam zaszczyt otrzymać w 2020 roku posiada długą tradycję. Powołana została w 2005 roku przez portal literacki Miasto Literatów z USA. Nadawana jest autorom, którzy zaistnieli poza granicami kraju w środowiskach literackich, pisząc w języku angielskim. Pierwszym laureatem nagrody był dr Leszek Szymański z Australii. To legendarny założyciel niezależnej grupy artystycznej „Współczesność”, która powstała po przełomie październikowym 1956 roku. Pan Szymański publikował też książki na emigracji w języku angielskim. Bardzo doceniam wyróżnienie tą nagrodą, jestem wzruszona. Zaistnienie w literackim środowisku anglojęzycznym to była długa droga. Wymagała nie tylko poznania języka, ale również kultury amerykańskiej i brytyjskiej. Proces ten trwał przez pewien czas, uczyłam się komunikacji międzykulturowej, starałam się chłonać nowiny literackie, czytając i uczestnicząc w spotkaniach londyńskich grup poetyckich.

Ta nagroda, to bardzo wysokie wyróżnienie, gdyż ocenia nie

tylko mój polski udział w twórczości, ale również publikacje anglojęzyczne.



Kontynuując temat wyróżnień - 25 września ubiegłego roku w ambasadzie polskiej w Londynie odebrała pani z rąk ambasadora RP Krzyż Wolności i Solidarności. To piękne zwieńczenie pani działalności na niwie już bynajmniej nie literackiej...

Dziękuję, że pan o tym wspomina... Była to wyjątkowa, podnosiła

uroczystość w ambasadzie polskiej w Londynie. Z rąk ambasadora dr Arkadego Rzegockiego zostałam uhonorowana cennym Krzyżem Wolności i Solidarności. Nie spodziewałam się tak wielkiego odznaczenia za moją działalność w okresie Solidarności. Byłam członkinią Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Jednak moja najważniejsza działalność skupiała się wokół Komitetu Obrony Więźniów Politycznych.

Organizowaliśmy ogólnopolskie marsze gwiazdziste w obronie wolnego słowa i uwolnienia więźniów politycznych. Również z tego okresu datuje się mój pierwszy kontakt z pracą edytorską. Otóż zostałam członkinią redakcji pisma należącego do organizacji, które nazywało się „Wywrotowiec”. Pomysł na tytuł pochodził ode mnie. Przygotowywaliśmy raporty z procesów politycznych, relacje wspomnieniowe i informacje bieżące.

Natomiast bardzo pięknym docenieniem pani działalności kulturalnej była wcześniejsza uroczystość wręczenia pani, także w Ambasadzie RP w Londynie, medalu Zasłużony dla Kultury Polskiej Gloria Artis. Jest pani jedną z nielicznych osób z tutejszej Polonii, które miały zaszczyt otrzymać to wyróżnienie. Co pani myślała odbierając ten medal?

Tak, to była niezapomniana uroczystość. Był to rok 2016, można było jeszcze spokojnie, bez ograniczeń pandemicznych, w miłym towarzystwie przyjaciół, spotkać się w ambasadzie. Otrzymałam wówczas medal Zasłużony dla Kultury Polskiej Gloria Artis. Jak

słusznie pan zauważył, przyznawany on jest osobom, które miały wpływ na rozwój polskiej kultury. Pod uwagę wzięto moją jeszcze inną, nie tylko poetycką stronę życia. Od lat staram się promować kulturę polską poza krajem. Momentem znaczącym było moje przystąpienie do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zostałam przyjęta przez znaną postać, prof. Józefa Garlińskiego, który natychmiast zaproponował mi uczestnictwo w Zarządzie i pracach nad reformą Związku. Przypomnijmy, że był to czas, gdy odchodzili starsi członkowie, organizacja kurczyła się, myślano o jej likwidacji. Byłam przeciwna temu pomysłowi. Wówczas Polska wchodziła w struktury europejskie, spodziewałam się, że do Wielkiej Brytanii napłynie emigracja, a wraz nią twórcy. Wyzwaniem stało się również uaktualnienie, zreformowanie „Pamiętnika Literackiego”. Wraz z prof. Eugeniuszem Kruszewskim z Danii otrzymaliśmy misję przygotowania nowej formuły wydawniczej. Tak też się stało. Powstał kolejny tom według naszych nowych przesłań wydawniczych, uwzględniających: poezję, opowiadania, grafikę. W ramach działań związkowych wraz z dr Urszulą Chowaniec z UCL powołałyśmy międzynarodowy konkurs literacki dedykowany młodym twórcom emigracyjnym „Wszelkie Dziwy”. Cieszył się bardzo dużym zainteresowaniem. Do działań nie związanych ze Związkiem powinnam dodać mój wkład w Światowe Dni Poezji UNESCO. W ramach tego cyklu miałam przyjemność organizować Europejskie Dialogi Poetyckie w roku 2013 i w roku 2014 w Londynie, w formie warsztatów

literackich. Brali w nich udział międzynarodowi autorzy związanymi z „Poezją dzisiaj” i twórcy emigracyjni. Wydarzenia odbyły się na prestiżowej uczelni londyńskiej, *University College London*. Kolejne spotkanie odbyło się wraz z udziałem brytyjskiej grupy poetyckiej *Poets Anonymous*.

Rozpoczęłam też współpracę z młodym ruchem literackim w Wielkiej Brytanii *PoEzją Londyn* założonym przez Adama Siemieńczyka i jego siostrę Martę Brassart Siemieńczyk. Były to chwile bardzo burzliwych dyskusji poświęconych współczesnej literaturze. Spotykaliśmy autorów, przede wszystkim początkujących na emigracji. Pomagaliśmy im w promocji prac poetyckich. Organizowaliśmy szereg cyklicznych, bogatych artystycznie imprez kulturalnych, które przyciągały ogromną widownię i słuchaczy. Nawet się nie spodziewaliśmy, jakim powodzeniem może cieszyć się poezja ukazana w zmienionej, bardzo nowoczesnej formie.

Wydarzenia zazwyczaj kończyły się licznymi publikacjami. Równocześnie publikowałam szereg esejów poświęconych obecności kultury polskiej poza granicami kraju. Owocem stała się książka „Londyńskie bagaże literackie”.



Krzyż z Wolności i Solidarności

Pomimo tychże wyróżnień jest pani przede wszystkim czynną literatką, ale także wydawcą. Pod koniec ubiegłego roku dzięki pani staraniom oraz pani Danuty Błaszak z Florydy antologia wierszy współczesnych poetów z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych pt. „Atlantyckie strofy”. Jak trwały prace nad jej powstaniem i gdzie można ją nabyć?

W ubiegłym roku powołałam do życia wydawnictwo Literary

Waves Publishing. Wraz z Danutą Błaszak z Florydy wydałyśmy w jego ramach antologię „Atlantyckie strofy”, poświęconą twórcom pochodzącym z Wielkiej Brytanii i USA. Powstał niezwykle, bardzo ciekawy zbiór poetycki. Niektóre utwory były przez nas tłumaczone na język polski.

Dominują autorzy polskiego pochodzenia. Są tam również zamieszczone ciekawe pana utwory... Zachęcam wszystkich do lektury. Antologia jest dostępna na mojej stronie internetowej:

<http://faleliterackie.com/literary-waves-publishing,360.html>

i na tym portalu:

<https://lubimyczytac.pl/ksiazka/4952721/atlantyckie-strofy>

Wspólnie z Danutą Błaszak opublikowałyśmy bardzo wiele antologii, głównie poetyckich. Ukazują się przede wszystkim w języku angielskim. Przedstawiają twórczość poetycką pisarzy emigracyjnych rozsianych po całym świecie i pisarstwo autorów z kraju. Obecnie pracujemy nad antologią w języku polskim. Zawierać będzie ona eseje i wiersze dedykowane artystom, którzy odeszli.

Jest pani autorką dwujęzyczną. To z pewnością pomaga dotrzeć z twórczością do odbiorcy, jak to jednak jest ze

strony pani - jako autora? Wszak ma pani wiele własnych wydawnictw w obu językach...

Tak, posiadam obecnie bardzo wiele publikacji w języku angielskim w USA, Wielkiej Brytanii, Australii, Włoszech i w dalekich Indiach... Tak, jak wspominałam wcześniej, to był długi proces poznawania kultur, współczesnej twórczości poetyckiej i oczekiwań literackich dzisiejszego globalnego świata.

Rozpoczęłam ten proces od tłumaczeń współczesnych twórców brytyjskich na język polski. Bardzo mi to pomogło w zrozumieniu metafor, symboli i ukrytych abstrakcji literackich tak charakterystycznych w literaturze brytyjskiej. Pozwoliło mi to zrozumieć myślenie i odczuwanie poety z innego obszaru kulturowego i pomogło w mojej własnej twórczości. Natomiast uczestnicząc w spotkaniach poetyckich w Londynie, mogłam poznać bezpośrednio odbiorców i ich opinie o wierszach. Brytyjczycy są bardzo otwarci na nowe spojrzenie i formę poetycką. Jednak musi być ona sprzężona z ich sposobem myślenia.

Pani utwory ukazywały się już w wielu antologiach i pismach literackich na całym świecie. Czy uważa się już pani za spełnionego twórcę?

Myślę, że tak... Jestem osobą skromną. Sądze, że osiągnęłam już bardzo dużo, jak na emigrantkę z Polski. Jednak wierna jestem

poezji i będę wciąż tworzyć, jest mi potrzebna jak powietrze....



Anna Maria Mickiewicz

Co uznaje pani za swój sukces?

Sukces to bardzo szerokie słowo. W jego rozumieniu każdy wypełniony radością dzień jest już sukcesem. Natomiast w wymiarze zawodowym, są to na pewno wiersze, takie, które wciąż są publikowane i przemawiają do mego serca i moich czytelników....

Czym jest dla pani literatura?

Literatura to niezmiernie obszerne pojęcie. W moim wąskim ujęciu to styl życia, staram wypełnić się nią wolne chwile. To czas na zadumę, przelane na papier myśli i uczucia ubrane w nieoczekiwaną formę. To przekraczanie własnych słabości, czasami osobista spowiedź, wymagająca odwagi, to ciągły świadomy dialog z czytelnikiem...To radość i przyjemność.

Proszę powiedzieć, czy we współczesnej poezji i prozie płęć ma jeszcze takie same znaczenie jak niegdyś, czy obecnie raczej dominują kwestie uniwersalne?

Obie sprawy są ważne. Istnieje nurt twórczości zdecydowanie nastawionej na wątki kobiece. To literatura wołająca, zaangażowana, dbająca o prawa kobiet. Obok biegnie swobodnie literatura uniwersalna. W dzisiejszym świecie powinno starczyć miejsca na wszelkie pozytywne nurty literackie.

Jakie są pani plany na przyszłość?

W tym roku planuję wydanie książki wspomnieniowej. Będą to nasze listy. Moje i mego męża, uzupełnione poezją z okresu stanu wojennego w Polsce. Brytyjskie wydawnictwo *Palewell Press* przyjęło książkę do druku. Planuję również wydanie „Pamiętnika londyńskiego” w Polsce i kolejny tomik poetycki „London Stories” w wydawnictwie *Poetry Space*.

Proszę jeszcze powiedzieć, gdzie można szukać informacji o pani, i pani twórczości i działalności?

Oczywiście można mnie odnaleźć na Facebooku pod hasłem: Anna Maria Mickiewicz oraz na mojej stronie internetowej: <http://faleliterackie.com/>.

Wywiad ukazał się londyńskim tygodniku „Cooltura”.

Zobacz też:

Londyńskie impresje

O dychotomii róż...

Bagaż literackie

Londyńskie impresje

Anna Maria Mickiewicz (*Londyn*)



Fot. Pixabay

Mój wiktoriański dom

*

W moim nowym kraju

Liście są zawsze zielone po drugiej stronie ogrodzenia.

*

W moim wiktoriańskim domu

Niewiele zmieniłam

Meble zrobione z litego drewna

Pociemniały

*

Pamiętam mój pierwszy dzień w Anglii

Mam kilka pamiątek

*

Na mojej wiktoriańskiej ulicy ludzie mówią

- Jak się masz?

- Czuję się dobrze, odpowiadam.

*

Młodzi Polacy przyjeżdżają do Londynu

Pytają

- Chcesz wrócić do Polski?

- Czy zostaniesz tutaj?

*

W moim wiktoriańskim życiu

Śnię...

Kolejna wiosna w Alexandra Palace

*

Puste ulice zadudniły

Z daleka ciemność miasta

Huczy

Odłamki dnia

To już tylko złudzenie

Świateł

*

Wiosna odgarnia kałuże

Oczka wodne iskrzą mgłą

Strumienie zanurzone

W kroplach rosy

*

Mgliście zauroczeni

Wkraczamy w objęcia

*

(Londyn, marzec 2011)

O tajemnicy czasu

*

Samotnego

W cichym ogrodzie

*

Przebiśniegi i bzy wiosenne

budzą Sokratesa

z platońskiego snu o dialogu

*

Zawiera wtedy przymierze

z wiecznością

Zamyka się wieko

nikłościami pajęczyn

okute

*

Ono dotrzyma tajemnic

w pieśni płochliwego kosa

zaklętych

*

(Londyn)

Słoneczniki

*

Zatopione

Niegdyś w polach

*

Teraz

Roztopione

W londyńskich mgłach

*

Zaklejone

Pajęczyną opętane

*

Trawami porośnięte

Gąszczem powyginane

*

Przyzwyczajone do rozstań

*

Czy wciąż słońcem
zauroczone?

Słoneczny dzień w Davis

*

Odchodzą na chmurach wiosennie lekko niezauważalni
aniołowie słów kilku białych słabych

*

Odchodzą tam wysoko uściskną ręce pokiwiają głowami

*

Odchodzą pokornie pochyleni ludzie małych miast

z mieszkań z balkonami pełnym pelargonii w letnie dni
gdy o chłód trudno nawet wieczorem

*

Odchodzą z dużych białych kalifornijskich domów

Z ogrodów nawadnianych sztuczną rosą

*

Lękali się czegoś, co spada ukradkiem na błyszcząca
rozgrzaną

blachę samochodu

Pilotem zamykają okna

*

Odchodząc zostawiają widok Matki Boskiej na konarze
drzewa

Tak im się wydawało...

*

A może to my nie widzieliśmy tych znaków?

*

Odchodzą...

*

(Davis)



Anna Maria Mickiewicz

Anna Maria Mickiewicz: poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii obecnie w Londynie. Publikuje w języku polskim i angielskim. Współpracuje z redakcją londyńskiego *Pamiętnika Literackiego*. Jest członkiem *English PEN*. Wraz z amerykańskim wydawnictwem *Contemporary Writers of Poland* przygotowuje cykliczne antologie poetyckie. W roku 2020 utworzyła wydawnictwo poetyckie *Literary Waves Publishing*.

Zobacz też:

O dychotomii róż...

Polska historia w Ameryce

Z pisarką dr Aleksandrą Ziółkowską-Boehm

rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. Andrzej Bernat

Od lat mieszka Pani w Stanach Zjednoczonych, ale... jak sama Pani mówi, nie czuje się Pani emigrantką. Ma Pani wciąż związek z Polską, utrzymuje Pani mieszkanie, samochód. A przede wszystkim pisze Pani po polsku o polskiej historii. Pani książki są wnikliwe, dopracowane i utrwalają od zapomnienia niezwykłych Polaków, z których wielu już nie ma, jak chociażby Wanda i Henryk Ossowscy czy Roman Rodziewicz. Bardzo cennym obszarem Pani działalności, jest wydawanie tych książek po angielsku w

Ameryce.

Nie czuję się emigrantką, bo nie wyemigrowałam (wcześniej, będąc na stypendium w Kanadzie, gdzie dostałam tzw. kartę stałego pobytu, wróciłam do Polski). W 1990 r. wyszłam za mąż i zamieszkałam z mężem w jego kraju, czyli w Stanach Zjednoczonych. Do Polski przylatuję regularnie, mam spotkania autorskie, ukazują się moje książki. Zachowałam nieduże warszawskie mieszkanie, które na mnie czeka (jest w nim archiwum Melchiora Wańkowicza) i gdy przylatuję – wiem, że jestem „u siebie”.

Jako była sekretarka Melchiora Wańkowicza jest Pani cały czas jego orędowniczką. W 2013 r. po angielsku w wydawnictwie Lexington Books ukazała się Pani książka - *Melchior Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word*. Jak Pani przekonała wydawcę, aby książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazała się na rynku amerykańskim?

Ogromnie cenię książki Melchiora Wańkowicza, znam jego twórczość, obroniłam doktorat dotyczący tej twórczości na Uniwersytecie Warszawskim. Napisałam kilka książek na jego temat (w 2019 r. PIW wydał blisko 700-stronicową pozycję *Wokół Wańkowicza*). Bardzo chciałam, by ukazała się o nim książka w języku angielskim. Wydawca długo się zastanawiał, czy ją wydać,

uzasadniając, że pisarz nie jest wystarczająco znany w Stanach Zjednoczonych. Odpowiedziałam, że jest taką postacią w literaturze polskiej, jaką był Hemingway w Stanach – ze względu na osobowość, tematykę swoich książek, popularność czytelników. Zgodził się. Książka miała dwa wydania, 840 bibliotek naukowych świata ma ją w swoich zbiorach – nie tylko Europy, Kanady i USA, jest także w miejscach tak odległych, jak Australia, Republika Południowej Afryki, Nowa Zelandia, Chiny, Armenia, Grecja czy Turcja.

Czym było dla Pani wydanie książki o Pani mentorze w Ameryce?

W książce jako przykład stylu pisarza przytoczyłam pierwsze 20 stron jego *Bitwy o Monte Cassino*. Napisałam o polskim reportażu, o procesie 1964 r. – pierwszym procesie intelektualisty w Europie Wschodniej. W czasie procesu protesty składał amerykański PEN Club, zabierał głos senator Robert Kennedy. O tym procesie na bieżąco pisała zarówno prasa amerykańska, jak i prasa całego świata. Na końcu książki napisałam kilka osobistych wspomnień, anegdoty. Wydaje mi się, że spłaciłam tą książką szczególny dług, zaciągnięty, kiedy pisarz zawierzył młodziutkiej osobie, zapisując jej swoje archiwa (zadedykował mi także ostatnią swoją książkę *Karafka La Fontaine'a*). Kiedy w 1958 r. Wańkowicz wyjeżdżał ze Stanów, wracając do Polski, krytykowany był przez Polonię, że „jedzie do

komunistów”. Ucieszyłam się że po latach – pisarz niejako wrócił – do amerykańskich (i nie tylko) bibliotek.

Bardzo ważną dla nas Polaków sprawą jest przedstawienie polskiej historii amerykańskiemu odbiorcy,, szczególnie tej z okresu II wojny światowej. Do tej pory ukazały się cztery Pani książki dotyczące polskiej historii w tłumaczeniu angielskim: oprócz wspomnianej już *Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word* ukazała się *Kaja, Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża, Muza 2006, 2014), *The Polish Experience through World War II: better day has not come* (Lepszy dzień nie przyszedł już, Iskry 2012) oraz historia jednego z Hubalczyków: *Polish Hero Roman Rodziewicz. Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald, and Postwar England*. W 2018 roku ukazała się również Pani książka, pięknie reklamowana przez wydawcę pt. *Untold Stories of Polish Heroes from World War II*, do której wstęp napisał prof. James S. Pula. W Kanadzie wyszły Pani książki związane z historią Polski *Dreams and Reality Polish Canadian Identities*, *The Roots Are Polish* oraz *Senator Stanley Haidasz: A Statesman for All Canadians*. Czym się Pani kierowała, wybierając polskich bohaterów dla anglojęzycznego odbiorcy?

Bardzo chciałam, by w Ameryce ukazały się moje reportaże

historyczne pokazujące losy Polaków, i nie tylko. W sumie 12 moich książek ukazało się w języku angielskim, w tym 3 w Kanadzie i 9 w Stanach. Pokazuję ludzi, których wojna wyrzuciła z domów, z ziem ojczystych, zabrała ich bliskich, złamała życie. Piszę także o pokoleniu, które po wojnie zostało na Zachodzie, nie chcąc wracać do komunistycznej Polski, czy nie mając gdzie wracać, bo Kresy były pod panowaniem sowieckim. Pisałam, co się działo z byłymi żołnierzami spod Monte Cassino, z bohaterami od Hubala (tak powstała książka: *Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England*, 2013). Smutne, piękne, dramatyczne, bolesne - nasze polskie losy. Pokazuję zsyłki na Syberię, pobyty w obozach koncentracyjnych, przesłuchaniach na Pawiaku. Piszę o dzieciach, które straciły ojców w Katyniu. Pokazuję losy polskich Ormian, rzeź wołyńską. Wśród wielu sylwetek jest piękna postać Wandy Ossowskiej, piszę też o Żydówce Idzie Grinspan, która przez 50 lat szukała Wandy - polskiej pielęgniarki z Neustadt-Glewe, która uratowała jej życie. Ida dotarła wreszcie do szpitala, kiedy Wanda Ossowska straciła już przytomność i niebawem zmarła. Ida Grinspan w 2002 r. napisała z dziennikarzem francuskim Bertrandem Poirot-Delpechem książkę o swoich staraniach, by Wandę odnaleźć: *Je n'as pas pleure* (I didn't Cry). Moja książka ukazała się pt. *The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come* (dwa wydania: 2013, 2015).

Ale o zainteresowanie wydawcy polską historią było zapewne trudno. Dla amerykańskiego czytelnika jest zbyt odległa i zbyt traumatyczna, Amerykanie mają własne, lokalne problemy. Jak zatem znalazła Pani wydawcę?

Ponad dwa lata szukałam wydawcy na tłumaczenie książki *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego Krzyża*. Po roku jeden z nowojorskich wydawców przeczytał kawałek, poprosił o drugi - odpisał, że mu się sposób pokazania podoba i chce podpisać umowę, ale jeszcze chciałby mnie spytać - czy na pewno jest to książka o Powstaniu w Getcie?... Nie, to jest o Powstaniu Warszawskim w 1944 roku... napisałam. - To nie będziemy mieli czytelnika, odpisał i wycofał się. Nie rezygnowałam, bardzo chciałam, żeby książka wyszła w amerykańskim wydawnictwie, by dotarła do bibliotek i innych instytucji, co amerykański wydawca zapewnia. Chodziłam do księgarń Barnes and Noble, oglądałam dział książek historycznych, patrzyłam, kto wydaje książki o drugiej wojnie światowej, spisywałam wydawców i w Internecie wyszukiwałam kontakt. Wysyłałam kolejne listy, na które dostawałam odpowiedzi, że ich temat nie interesuje. I tak - po ponad dwóch latach - pozytywnie odpowiedziało wydawnictwo Lexington Books, które wydaje książki popularnonaukowe. Książka ukazała się pod tytułem: *Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (dwa wydania: 2012, 2014). Wydano w sumie pięć moich książek poświęconych tematyce historycznej. Ukazały się bez sponsora, w sztywnej okładce, z

fotografiami. Trzy mają drugie wydania (w miękkiej okładce).



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Londyn 2007 r., fot. Juliusz Englert

Czego ważnego o Polsce i jej historii dowiadują się Amerykanie z tych książek?

Wydawca napisał mi, że bardzo ceni, że piszę w powściągliwy, serdeczny sposób o dramatycznych losach ludzi, bez komentarzy, bez pouczania. Że każdy może się utożsamić z cierpieniami, które pokazuję, przedstawiając losy swoich wybranych bohaterów, że czytelnik wychwytuje najpiękniej i otwartym sercem całą tragedię i reaguje emocjonalnie. Pokazuję, że

Polacy-chrześcijanie byli w Auschwitz, pokazują piękne przypadki ratowania Żydów (jak Wanda Ossowska), losy syberyjskich sierot... chciałam, by angielskojęzyczny czytelnik przyswoił sobie te tematy bez sięgania po historyczne rozprawy.

Czy komentowano Pani książki historyczne?

Pisał o nich przytaczany na tylnych okładkach, znany na obu półkulach, Zbigniew Brzeziński, a także historycy i autorzy amerykańscy: Neal Pease, Stanley Cloud i Lynne Olson (autorzy tłumaczonej w Polsce książki *Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski*), Stanley Weintraub, Bruce E. Johansen, John R. Alley, Matt DeLaMater (autor książek o Napoleonie), Terrence O'Keefe, Karl Maramorosch, Brytyjczyk Christoph Mick; polskiego pochodzenia historycy, jak Piotr S. Wandycz i Anna M. Cienciała, autorzy: Ewa Thompson, Jerzy R. Krzyżanowski, Charles S. Kraszewski (także tłumacz i poeta), Irene Tomaszewski, Leszek Adamczyk, Florence W. Clowes, John Radzilowski, Radosław Palonka, Angela Baldwin, Audrey Ronning Topping, Wash Gjebre, Homer Flute, Robert Ackerman, Larry Cunningham, Michał Sikorski, Jesse Flis, Irene Tomaszewski, John Mensch, James S. Pula, Mary Lanham.

Propaguje Pani także polską historię współczesną. W 2004 r. ukazał się wydany przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w Toronto (Canadian Polish Research Institute)

zbiór wywiadów z Kanadyjczykami i Amerykanami polskiego pochodzenia zatytułowany *The Roots Are Polish*. Wśród rozmówców byli m.in. generał Donald Kutyna, profesor Andrew Schally, Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Marek Jaroszewicz, Zdzisław Przygoda, Charles S. Kraszewski, Czesław Miłosz, Isaak B. Singer... Wstęp do książki napisał generał kanadyjski Bruce J. Legge. Napisał m.in., że *Ziolkowska'Boehm's remarkable book sparkles with being Polish*. Czy myśli Pani, że taka praca, która pokazuje Polskę, nie tylko z jej ranami, ale też i z jej sukcesami, ma wpływ na kształtowanie opinii o Polakach w Ameryce?

Bardzo bym chciała. I to jest naszym - Polaków - niejako obowiązkiem. Jak mówię - niech każdy robi „co może”. Np. niech kupuje książki o tematyce polskiej i daje jako prezent znajomym, niech pyta o nie w bibliotekach. Komputer takie zainteresowanie wyłapie i książki będą zamawiane.

Pani wiedza i miłość do Polski spowodowała, że i Pani mąż, Norman Boehm, stał się polskim patriotą.

Norman poznał najnowszą historię Polski. Kilka razy wysyłał listy prostujące różne sprawy, jego listy były drukowane. Włączył się w akcję mobilizacji senatorów amerykańskich, kiedy ważyła się sprawa przyjęcia Polski do NATO. Jest cytowany (został tam

także podany jego biogram) w książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006).

Ukazała się także w języku angielskim Pani autobiografia *Ulica Żółwiego Strumienia*, zatytułowana *Love for Family, Friends, and Books* (2015), którą pisała Pani, mieszkając z mężem w Dallas w Teksasie. Ludzka pamięć zmienia się w zależności od tego, ile razy przypominamy sobie wydarzenia i z którego punktu na nie patrzymy. Czy ukazanie się tej książki po wielu latach, jakie minęły od polskiego wydania, spowodowało powrót do osób i historii z Pani życia? Czy gdyby Pani teraz pisała autobiografię, widziałyby Pani pewne wydarzenia inaczej?

Dobrze, że tę książkę napisałam mając 40 lat, nie czekałam, nie odkładałam na później. Książka jest z założenia serdeczna, o czym we wstępie piszę. Pamięć jest ulotna, różne sprawy inaczej pamiętamy po czasie. Może po latach pamięć jest bardziej „ranliwa...”? W tłumaczeniu dodałam fragmenty, np. o roli papieża Jana Pawła II w Polsce, o zmianach, które następowały. Amerykańskie wydanie na tylnej okładce jest zarekomendowane przez autorkę wielu książek Audrey Ronning Topping, profesora Bruce Johansena. Jesse Flis napisał, że moje pisanie motywuje wielu Kanadyjczyków, by na nowo odkryć swoje polskie korzenie (*The author's writings have motivated many Canadian citizens to*

rediscover their Polish roots). Ładnie, prawda?

*Wywiad ukazał się w roczniku „Polonia Inter Gentes”
wydawany przez Instytut im. Generała Władysława Andersa w
Lublinie, w lutym 2021 r.*

Zobacz też:

Zbiory polskie w Instytucie Hoovera

Każdy człowiek ma swoją górę do przekucia. Niezwykły
rzeźbiarz Korczak Ziółkowski.

Pisarskie delicje i remanenty

Adam Wierciński



„Pisarskie delicje” Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm (Bellona

2019) to *silva rerum*. Prawdziwy las rzeczy. Tyle tam spraw, tematów, postaci znanych i mniej znanych, tyle dopowiedzeń do książek wcześniejszych i dodatkowych opowieści. I tyle przytoczeń. Listy, rozmowy, wywiady, fragmenty książek własnego i cudzego autorstwa. A wszystko udokumentowane, sprawdzone i autoryzowane, kiedy trzeba. Polot, szczęśliwe przypadki, szczęście do spotkań z pięknymi ludźmi, ponadto – dyscyplina pisarska. I jeszcze sztuka uważnego słuchania.

W pierwszym rozdziale zajmuje się Autorka reportażem literackim, rozprawia ze znawstwem, którego mógłby jej pozazdrościć wykładowca na wydziale dziennikarstwa, o literaturze faktu, tłumaczy, skąd się wzięła popularność tego rodzaju pisarstwa.

Czytelnik współczesny oczekuje dokumentacji, jest głodny faktów, przekazów z pierwszej ręki. Staramy się śledzić, co się dzieje w różnych miejscach świata, który dzięki telewizji i głównie internetowi wszedł w nasze życie ze swoimi dylematami, problemami, katastrofami i biedą (s. 11-12).

To pisarstwo wywodzi się z literackiego dziennikarstwa, przypomina, że w latach 70. XX w. popularnością cieszył się tzw. *literary journalism*, kiedy autorzy starali się przedstawić punkt widzenia przeciętnego człowieka. A kiedy i to określenie

stało się nazbyt rozmyte, wprowadzono inne:

Termin „*creative non-fiction*” (używany zamiennie jako „*literary non fiction*”) brzmi być może zagadkowo. Wyraz „*creative*” wskazuje, że autor używa metod i sposobów wypróbowanych w fikcji, czyli uprawia sztukę przenoszenia do narracji rozmaitych strategii i form opowiadania (s. 12).

Teoretyczne rozważania ilustruje Autorka przykładami, przypomina, jak się przygotowywała do pierwszego spotkania z Melchiorem Wańkowiczem, jak doszło do spotkania z Januszem Brochwiczem-Lewińskim („Gryf” w czasie powstania warszawskiego był świadkiem śmierci córki Wańkowicza). Wspomina o lojalności wobec rozmówcy:

Pojawiają się momenty, kiedy rozmówca nie ukrywa, nie cenzuruje swoich słów, odczuć, wspomnień – mówi o nich swobodnie. Nie znaczy to, że piszący ma o tym napisać, aby „świat się dowiedział”. Ustalamy z moimi bohaterami, że swoją opowieść snują bez oporów, ale przed publikacją każdą wypowiedź z nimi autoryzuję. Mają do tego święte prawo. Zawsze usuwałam fragmenty wspomnień, którymi dzielili się ze mną, ale nie chcieli obwieszczać ich innym.

Rozmówcy zasługują na szacunek, poszanowanie ich życia i prywatność. Zaufali mi, ja mam obowiązek postępowania etycznego (s. 41-42).

A po teoretycznym wstępie ciągną się opowieści o ludziach z różnych czasów i z tyłu przestrzeni. O ich wędrówkach z wyboru i tych odbywanych kiedyś mimo woli. O rodzinie Rodziewiczów (z opowiadania Romana Rodziewicza powstała książka Wańkowicza „Hubalczyki”); o Aleksandrze Jordanie Lutosławskim, synu sławnego filozofa, Wincentego Lutosławskiego; o ks. Prof Januszu Ihnatowiczu, teologu i poecie; o sławnym pilocie Januszu Żurakowskim. O skomplikowanych losach niektórych ludzi. Janusz Duksza, lekarz psychiatra i polityk kanadyjski, rodem ze Szczuczyna (między Grodnem a Nowogródkiem), mówił Ziółkowskiej-Boehm o swojej złożonej tożsamości:

Uważam się za Polaka litewskiego pochodzenia, od lat mówię, że jestem polskim Litwinem, ale to jest trochę skomplikowane. Odwiedziłem kilka lat temu Wilno, i stwierdziłem, że na pewno nie jestem Litwinem, pojechałem do Krakowa, stwierdziłem, że nie jestem Polakiem. Odwiedzam Anglię, gdzie ukończyłem uczelnię, i gdzie mieszka moja przyrodnia siostra Izabella, ale nie czuję się Anglikiem. Jestem Kanadyjczykiem – bo Kanada pozwala mi być... cudzoziemcem. To jest moje „identity” (s. 64).

Ciekawe, ile papieru zużyliby współcześni socjologowie na opisanie tej wielostopniowej tożsamości, ile teorii stworzyliby dzisiejsi kosmopolici i narodowcy. A pisarka zostawia wyznanie potomka szlacheckiego rodu z Wielkiego Księstwa Litewskiego bez komentarza. Zostaje cenne świadectwo. Gdzie indziej opowie Autorka o Tomaszu Łychowskim, poecie i malarzu Brazylii (przyznaje się, że to, co pisze, jest polskie, a to co maluje – brazylijskie). Jego ojciec pochodził z Kijowa, ożenił się z Gertrudą, Niemką spod Berlina. A stało się to w portugalskiej wtedy Angolii w latach 30. XX w. W roku 1938 Łychowscy z kilkuletnim Tomaszem przyjechali do Polski. A potem wojna, konspiracja, matka Niemka okazała się polską patriotką związaną z AK. Osadzono ją z siedmioletnim synkiem na Pawiaku.

Obecnie Tomasz Łychowski ma ponad 80 lat i jest prawdopodobnie najmłodszym żyjącym więźniem Pawiaka.

Pamięta, że codziennie o szóstej rano był apel. Ustawione w dwurzędzie więźniarki składały po niemiecku meldunek. Tomasz zapamiętał, że po pewnym czasie jemu przypadła ta funkcja i meldował: „*Fünfundzwanzig Frauen und ein Kind*” (25 kobiet i dziecko). Na to Komendant: „*Fünfundzwanzig Frauen und ein Man*” (25 kobiet i jeden mężczyzna) i bardzo zadowolony ze swojego

dowcipu wybuchnął śmiechem (s. 240).

Poeta pisze w trzech językach: po polsku, po angielsku i po portugalsku, maluje i pisze wiersze (coraz częściej po portugalsku), w jednym z wierszy wspomina o swojej multiosobowości:

Jaka moja w tym wina

- urodzony w Angoli -

że nie jestem czarny?

Zaadoptowany przez Brazylię

że jestem gringo?

Jaka wina?

Że jestem synem Niemki w Polsce

Polaka w Niemczech?

Dość nierzeczywistych win!

Czy nie wystarczą te prawdziwe?

(s. 252)

Jak to dobrze, że bohaterowie o takich skomplikowanych losach znaleźli rozumiejącą słuchaczkę, która z taktem i empatią potrafiła ich wysłuchać, a potem zapisać niezwykle koleje losu (powieściopisarz pomieściłby te opowieści w kilku zapewne tomach). A tu skrót, dane do opowieści i ewentualne rozwinięcie. Jak z Kają od Radosława:

Najkrócej: Cezaria Iljin-Szymańska - pseudonim „Kaja” - działaczka podziemia, uczestniczka powstania warszawskiego, członek zgrupowania „Radosław”. Po powstaniu aresztowana w Białymstoku i osadzona w obozie NKWD nr 41 w Ostaszku. Do Polski wróciła w 1946 roku z malarią i tyfusem. Skończyła studia i została cenionym architektem, włączyła się w odbudowę Warszawy (s. 89).

Jeszcze o jednym szkicu należałoby wspomnieć. Zaczyna się tak:

Jeżeli Wańkowicz jest mi wdzięczny, to zapewne za wymianę przedmowy... Że przekonałam wielkiego redaktora

Giedroycia, który do swojej korespondencji z pisarzem napisał nową. Pierwsza jej wersja zawierała określenia niesprawiedliwe, niepoparte żadnym dokumentem (s. 257).

A jak to się stało, że propozycję Ziółkowskiej-Boehm, żeby dodał Giedroyc kilka zdań...

- właśnie, że uważa go Pan za „czołową postać polskiej literatury” (...). Obok krytyki i ostrych rzeczy, czy nie może Pan dodać, że - jak Pan do mnie pisze - jednak „wysoko go Pan ceni”?

zostały uwzględnione, wnikliwy czytelnik, przeczyta sam. A uparta i wdzięczna Autorka, dbająca o dobre imię swojego mistrza, napisze o Giedroyciu z uznaniem:

Jego wielkość z pewnością zawiera się także w fakcie, że dał się przekonać. Bardzo go za to podziwiam i doceniam (s.293).

Tekst ukazał się [w:] PAMIĘTNIK LITERACKI, Londyn, grudzień 2020, s. 243-246

Zobacz też:

„King i Królik” - powrót Melchiora Wańkowicza

Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża